

Poezje królowej

NINA ANDRYCZ, powszechnie nazywana królową sceny polskiej, urodziła się 11 listopada 1915 r. w Brześciu nad Bugiem. Ukończyła Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej pod kierownictwem Aleksandra Zelwerowicza. Od momentu debiutu w 1935 roku, do dziś występuje w warszawskim Teatrze Polskim. W pracy aktorskiej miała tylko przerwę w czasie II wojny światowej, kiedy pracowała jako kelnerka.

W 1983 roku Nina Andrycz zadebiutowała jako poetka, do czego namówił ją kiedyś sam Jarosław Iwaszkiewicz, któremu pokazała swoje

wiersze. Pierwszy jej tomik nosił tytuł „To teatr”, potem ukazały się następujące: „Drugie spotkanie z diabłem” (1985), „Rzeka rozłąka” (1986), „Róża dla nikogo” (1989) i „Wakacje w listopadzie” (1995). Wydała też w 1992 r. dość ekszibicjonistyczną powieść kryptobiograficzną pt. „My rozdwojeni”, w której nader drastycznie opisała początki swej kariery. Niestety, nakład wszystkich wymienionych tu książek jest już dawno wyczerpany i próżno ich szukać w księgarniach.

Pod koniec stycznia br. w warszawskim Klubie Księgarza odbyła się promocja kolejnego zbioru poezji, który Nina Andrycz zatytułowała „Rzeka bez nazwy”. Wstęp do tomiku napisał autorce książek Jan Twardowski. Na spotkaniu promocyjnym wiersze z tomiku czytał Krzysztof Kolberger, a na widowni - oprócz tłumy wielbicieli artystki - zasiadli m.in. tak znani ludzie jak Xymena Zaniewska, Barbara Wachowicz, Danuta Waniek, Wojciech Siemion, Bogusław Kaczyński i Zygmunt Broniarek.

Na koniec przyszła pora podpisywania tomiku. Nina Andrycz każdemu wpisywała długą i sympatyczną dedykację, a kolejka do niej stała grubo ponad godzinę.

Choć znakomita aktorka i poetka była z pewnością zmęczona - czego zupełnie nie okazywała - zgodziła się jeszcze na krótki wywiad dla Czytelników Kuriera.



Wiersze z najnowszego tomiku czytał Krzysztof Kolberger.

*** Co jest dla pani najważniejsze w życiu?**

- To, co powiem, nie będzie grzecznościowym frazesem, ale najbardziej cenię sobie ludzi na widowni. Publiczność jest mi potrzebna jak powietrze i woda. Mogę żyć bez mercedesa, wakacji na Łazurowym Wybrzeżu czy luksusowej willi, ale nie mogę istnieć bez publiczności.

*** Czy ze swoich licznych występów pamięta pani Lublin?**

- Byłam w Lublinie z „Ryszardem III”, którego grał Janek Englert i na terenie teatru przydarzyła mi się rzecz straszna. Szłam ciemnym korytarzem w towarzystwie dwóch panów i nagle upadłam z czterech schodków. Okazało się, że bardzo rozbiłam sobie lewą nogę. Widownia była pełna, bo ludzie czekali na mnie, więc nie bacząc na krwawiącą nogę, wyszłam na scenę. Potem tę nogę opatrzył mi... ginekolog, bo był jedynym na widowni lekarzem.

*** Jak to się stało, że występuje pani od 1935 roku ciągle w jednym teatrze?**

- Przyczyna jest prosta - nie było nigdy powodu, żeby zmieniać teatr. Teatr Polski był zawsze najlepszy. Reżyserowali w nim sami najlepsi: Schiller, Węgieńko, Wierciński, Ziemiński... Kto od takich reżyserów uciekałby? Obecnie jest już gorzej, ale to nie wina teatru, tylko ustroju, czyli ludzi rządzących. Mecenaszem teatrów powinno być państwo, które musi te placówki kultury utrzymywać.

*** Niektórzy twierdzą, że Ministerstwo Kultury i Sztuki jest niepotrzebne. Co pani o tym sądzi?**

- Uważam, że jest potrzebne, ale musi być odpowiedni minister.

*** Pani idzie, że tak to określe, pod prąd mody. Pisze pani wiersze, a poezja nie jest dziś modna.**

- Nie zgadzam się z panem. Na moje spotkania poetyckie przychodzi dużo młodzieży, która słucha mnie i pięknie dyskutuje. Znajduję z nimi wspólny język, pytają mnie, jak osiągnąć sukces... Jedynym sposobem na sukces jest ciężka praca, bo on sam z nieba nie spadnie.

*** Czy nie zamierza pani napisać swoich wspomnień?**

- Nie, ponieważ wielu aktorów już to zrobiło, a do tego w sposób niesmaczny. Owszem, napiszę coś w tym rodzaju, ale będzie to fikcja wymieszana z faktami.

Rozmawiał
Jerzy W. Mościbrodzki
Fot. Jacek Babicz



Nina Andrycz była
w doskonałym
NASTROJU.

W czasie spotkania nie brakowało też okazji do szczerego śmiechu. Na zdjęciu Wojciech Siemion.